



EX-LIBRIS
WOJEWÓDZKIEJ
I MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI
PUBLICZNEJ
IM. EMANUELA SMÓŁKI
W OPOLU

MARIA ŚWIDERSKA

OSTATNI PIAST NA ŚLĄSKU



NAKŁADEM KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKI



MARIA ŚWIDERSKA

OSTATNI PIAST NA ŚLĄSKU

WYDANIE CZWARTE



KRAKÓW 1946

NAKŁADEM KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKI

OKŁADKA I RYCINY LESZKA GÓRSKIEGO



Swid
Ostat

943

~~30563~~
499 5

ZBIORY ŚLĄSKIE

I. GOŁĄBKA W ORLIM GNIEZDZIE

Noc ciemna zaległa nad ziemią. Żadna gwiazdka nie przebija się przez grubą chmur opo-
ną i tylko kiedy niekiedy z da-
leka błyskawica krwawym zyg-
zakiem rozdziera czarną zasłone-
nocy, a grzmot głuchy po chwili
zwiastuje odgłosy burzy gdzieś
w dali, za lasami i górami.

Ale i tu na ziemi nie ma
spokoju. Wśród ciszy nocnej sły-
chać chrzęst broni, powolne, lecz
ciężkie stąpania, czasem rzenie
koni i hasła wojenne wymienia-
ne szybko, lecz wyraźnie. Ogni-
ska porozpalane na polu szeroki-
m wieńcem okalały wyniosłą
górkę, na której wśród ciemno-
ści bieleją mury zamku waro-
wnego. I tam nie śpią: na mu-
rach stąpają ciężkie kroki stra-
ży, a w małych okienkach mi-
gają światełka czerwone, za-
pewne smolnego łuczywa
palącego się na kominach.



Zamek to — Frankenstein,¹ potężna warownia Bolka III-go, księcia na Świdnicy i Jaworzu, ostatniego z Piastów, który się jeszcze przemocy drapieżnych sąsiadów opiera. Dziś, obleżony przez liczny poczet rycerstwa, na którego czele stoi sam Karol Luksemburski, król czeski,² broni się Bolesław mężnie, od kilku już tygodni odpierając liczne i wyćwiczone w boju szyki najeźdźców. I teraz, choć już godzin parę upłynęło od zachodu słońca, po dniu spędzonym na murach, skąd obleżeni ciskając ogromne kamienie, lejąc smołę i ukrop, zmuszali do odwrotu zastępy oblegających — po tym dniu bitwy i znoju Bolko zamiast legnąć na twardej pościeli i dać spocząć strudzonej głowie, przeciwnie, zwołuje rycerzy swoich na naradę do wielkiej, sklepionej sali.

Stąd właśnie bije światło przez małe, zakratowane, głęboko w grubym murze żłobione okienka, ale i na górze, niby jasne oko wśród ciemności, błyska białawym światłem okienko z wieży. Zjrzyjmy do małej i również sklepionej komnatki wśród grubych murów wieżycy, której dotąd ani ogromne kamienie, ani kawały żelaza z ciężkich pocisków napastników padające naruszyć ani wstrząsnąć nie zdołały. „Gołębim gniazdem“ nazywają rycerze Bolesława okrągłą komnatę, do której po wąskich, drabiniastych schodach tylko dojść można; nie braknie też białej gołąbki tulącej się w tym gniazdku, z którego jej wypłoszyć nie zdołały ani grzmoty i pioruny co rozdarły grubą jodłę naprzeciw okienka rosnącą, ani straszniejszy może zgiełk wojenny od tyłu już tygodni trapiący dzielnicę Bolesławową.

Czyż nie podobna do gołąbki ta wdzięczna dziewczeczka o błękitnym oku i długich, jasnych warkoczach, co padłszy na kolana, wznosi drobne rączki i białą jak lilia twarzyczkę do obrazu Bogarodzicy, przed którym płonie mała lampka na stalowym zawieszona łańcuszku? Łzy rzewne jak rosy krople spływają po licu dziewczęcia i znać, że już długo w niemej pozostaje modlitwie, bo właśnie zbliża się ku niej sędziwa,

¹ Zamek Frankenstein (Ząbkowice) wystawił Bolko I, książę na Świdnicy zmarły 1303 roku.

² Karol IV, syn Jana Luksemburskiego, znanego ze srogości i niezmiernej waleczności.

w białe szaty otulona niewiasta i rzecze, troskliwie objawszy szczupłą kibić dziewczeczki:

— Hanulko, gołąbko moja, dość już tych modlitw i łez gorących; gdzieby też nie trafiły do Najświętszej Matki, kiedy mnie się aż serce rozplywa patrząc na ciebie, ptaszyno moja, że duszę swoją wylewasz przed Panem Bogiem. Jużem ci łóżeczko usłała, spocznij gołąbeczko, a ja ci bajkę opowiem o zaklętym królewiczu lub o smoku skrzydlatym, jak to niegdyś bywało, pamiętasz ptaszyno, w jaworzańskim zamku naszym kiedy żył i władał miłościwy pan mój, a twój ojciec najlepszy, kiedy ci się nudziło w długie, zimowe wieczory.

Dzieweczka podniosła się z kolan, ucałowawszy przed tym z pokorą ziemię i przeżegnawszy się pobożnie.

— Nie, Bogno — rzekła — nie każcie mi się kłaść do łóżka; taki mnie dręczy niepokój że usnąć bym nie mogła, ani nawet słuchać bajki o zaklętym królewiczu. I tobie się na sen nie zbiera, prawda, nianiu moją miła? Lepiej siądźmy sobie do kądzieli i pogwarzmy o dawnych, dobrych czasach, kiedyśmy ani szczęku oręża nie słyszały, ani drżały co chwila na widok pożarów płonących wokoło.

I mówiąc to, Haneczka pogłaskała starą piastunkę po zwiędłej i pomarszczonej twarzy, a Bogna, choć miała już usta otworzyć aby pogderać trochę, uśmiechnęła się spojrzawszy na pieszczoszkę swoją poszła dołożyć smolnego łuczywa do ognia dogasającego na kominku. Potem usiadły obie na niskiej ławie dębowej przykrytej wzorzystym kilimkiem, i ująwszy przesłonce owinięte srebrzystym włóknem lnianym, poczęły wysnuwać cienkie niteczki. Wrzecziono szybko się obracało w pomarszczonej i wychudłej ręce staruszki, ale prędzej jeszcze furczało w białych paluszkach Anki. Ogień z komina rzucał blask czerwony po komnacie, a duży, czarny pies wygrzewał się przy nim, czasem tylko podnosząc rozumne oczy na młodą swą panią.

— Chcieliście, Bogno, opowiadać bajkę o zaklętym królewiczu, to mówcie lepiej o prawdziwym królu polskim, o dziadku moim najukochańszym, Kazimierzu, któregoście nieledwie na rękę nosili, o babce i pradziadku moim przesławnym.

— Dawne to już dzieje, gołąbko moja, kiedym opuściła

Polskę naszą ukochaną, ale pamiętam jak dzisiaj dzień ten smutny, choć niby i wesoły, kiedy nasze wozy z Krakowa wyruszały. Młodziutka pani moja, a babka twoja, gołąbko, Małgorzata córka Łokietkowa, po sutym weselu jechać miała do domu męża swojego, pana na Świdnicy. Mnie com od dzieciństwa nieledwie przy królownie była, nie chciano puścić od niej, a Jaśko mój dostał obowiązek koniuszego przy dworze młodej pani. Dworno i huczno zbieraliśmy się w drogę na Śląsk. Młody pan nasz, niby święty Michał na koniu białym, od złota i pereł błyszczący, oka od siebie odwrócić nie dawał; za to pani moja, świeża jak jagoda, kiedy spojrzała, to się aż słodko w sercu robiło. Kiedy na ciebie spojrzę, gołąbeczko moja złota, zda się, że te lata długie gdzieś się podziały, a ja widzę przed sobą najmiłościewszą królowną moją... Raz jeszcze dworno i strojno jechaliśmy potem przez bramy Krakowa, ale wtedy już piastowałam syneczka pani mojej, a ojca twego, świeć Panie nad duszą jego. Wtedy już gracko szabelką wywijał, którą nad wszystkie bawidelka przedkładał, a w Krakowie święciliśmy uroczystość wielką, bo narodziny polskiego królewicza, który teraz ludowi swemu miłościwie panuje i pono lepszy jest jeszcze od rodzica swego, o biednych najwięcej przemyśliwa i każdemu do siebie dostępu dozwala. Na chrzcie świętym dano mu imię Kazimierza¹ i zda mi się, że widzę jak naszego precudnego królewicza do kościoła wnoszą, a z Wawelu dzwony biją radośnie, ot, będzie temu lat trzydzieści! Szczęśliwa to była chwila, kiedyśmy do Świdnicy wracali; nie przeczuwało serce moje że to ostatnia godzina szczęścia, że odtąd oczy z łez prawie osychać nie miały. Jakoż wkrótce potem najmiłościewsza pani moja na rękę moim Bogu ducha oddała, a zimnymi już usty szeptała żebym nigdy nie porzucała dziatki jej, Mieszka i maleńkiego Bolka, żebym ich wozila do dziadka i mowy polskiej uczyła. Jakoż król Władysław Łokietek chciał obydwoch na dwór swój zabrać, ale pan nasz synów dać nie chciał i w srogim żalu po utracie najukochańszej małżonki, przy nich tylko pociechę znajdował. Bywało, z wojny wraca, jeszcze hełmu nie zdejmie i cały jak

¹ Kazimierz Wielki urodził się w roku 1310.

był, w żelaznej zbroicy prosto kroczy do dziecinnej izby. Mały Mieszko, co był zawsze do matki podobny, słodki i cichy jak ona, że go ojciec na żarty księdzem nazywał, usuwa się w kąta na odgłos szablicy co po kamiennych płytach dzwoni, i nieśmiało do ojca przystępuje; za to Bolko obie ręce na szyję mu zarzucawszy, zrywa hełm z głowy, to małą piastką w pancierz uderza, to znów próbuje szablicę ojcowską dźwignąć z ziemi. Potem obaj książęta na konikach pod wodzą księcia pana mocują się hasając po zamkowych podwórcach i ani mi przez myśl przeszło, jak już obydwaj z ojcem po raz pierwszy na wojenkę ruszyli... I znów wesele, płasy i śpiewy, to znów trumny i pogrzeby, że się człowiekowi jak we śnie to wszystko miga... Ja na Jaworzańskim zamku znów kołyszę maleńką sierotkę co prawie matki własnej nie widziała, a tu wnoszą rycerze w żalobie ciało ojca twego, Hanulko, który poległ od niemieckiej strzały. Już myślałam że nam zginąć przyjdzie nim się poza góry do Polski dostaniemy, gdzie jeszcze pradziadek twój, król Łokietek panował, aż tu przybywa ze Świdnicy książę nasz, Bolko, brat nieboszczyka i mówi że nikomu gołąbki swej zabrać nie pozwoli, że sierocie po bracie swym ojca zastąpi. I pojechaliśmy z nim, a na cmentarzu w Jaworzu zostały zwłoki rodziców twych miłościwych i Jaśka mego, co napróżno pana ciałem swym zasłaniał, aż go Niemcy rozśiekali, żem go poznać nie mogła gdy go ledwie żywego do zamku przywieźli.

I stara piastunka wychudłą ręką otarła łzy płynące po jej twarzy, a Hanka objawszy ją za szyję, przytuliła główkę do jej piersi chcąc trochę pocieszyć i upieścić staruszkę.

— A pamiętacie, Bogno, jak to wtedy gwarno było na zamku u stryja? A te zaręczyny moje z Przemkiem, co mi go stryj za męża przeznaczył?

— Pamiętam, gołąbko, miałaś wtedy lat pięć, a mały książę brat krzyż diamentowy w podarku na szyję ci włożył. Mówiłam ja wtedy że krzyża się dawać nie godzi, a we dwa lata już stawialiśwy krzyżyk na mogile Przemkowej. Pan nasz po stracie jedynaka zdawało się że od rozumu odchodzi: nie spał, nie jadł, zimny jak kamień, słowa do nikogo przemówić nie chciał i tak siedział chmurny od rana do wieczora i znów od

wieczora do rana, a nikt nie śmiał zbliżyć się do niego, aż dopiero kiedy gołąbka moja cicho się przysunęła i główkę mu złocistą na kolanach złożyła, rozplakał się jak dziecko i porwawszy ją na ręce przycisnął do serca żeby mu nie pękło.

— I ja tę chwilę dobrze pamiętam, nianiu; zdawało mi się że mię stryj rozgniecie na piersi swej, ale nie krzyknęłam, tylko go mocno za szyję objęłam i szeptałam że go nigdy nie porzucę.

— I nie można było porzucić osierociałego pana; gdyby nie to, byłabym cię dawno zawiozła do Krakowa, gdzie nas król Kazimierz tyle razy wzywał. Tambyśmy odetchnęły po tych wojnach ustawicznych, bo król Kazimierz pono wojny nie lubi, a tylko mądrze w kraju swym gospodarzy. I nasz książę pan może by chętniej spoczął i zajął się ludem swoim, bo i w Świdnicy i Jaworzni straszna bieda z tych ciągłych wojen; ale cóż [poradzić ze złym sąsiadem, który nas trapi i najeżdża?

— Ach, prawda, Bogno moja, że te wojny, to rzecz straszna. Mnie się zdaje że stryj powinien się pogodzić; inaczej wszyscy wyginą do szczętu i kamień na kamieniu nie zostanie u nas.

— A skądże do zgody przyjść może z hardym Niemcem albo z chciwym Czechem, co chcą zmusić wolnego Piasta żeby im hołdować? Alboż to on nie pan na ziemi swojej? A gdyby miał hołdować, to pewno nie Niemcowi ani Czechowi, który cesarskie stopy liże, ale naszemu wielkiemu królowi Kazimierzowi, co go i Ruś Czerwona za pana uznała i Litwa się doń życzliwie kłoni. Tam nasi bracia, jedna wiara, jedna mowa, nie to, co przekłęci Niemcy!...

— Niemcy zapewne, ale nie Czesi — przerwała dziewczeczka — bo i to przecież bracia od Lecha jeszcze...

— Taki brat, który się mowy ojczystej wyrzekł i z wrogiem trzyma, to gorszy od samego wroga.¹ Alboż to nie wiesz,

¹ Był czas że Czesi pod wpływem przemożnego sąsiada zniemczyli się i zdawało się, że swą narodowość zatracą. Tym większa chwała im, że po tylu wiekach znowu rozbudzili w sobie miłość do ziemi i mowy ojczystej i pracują z zapałem nad językiem, oświatą i wyciągają rękę do bratnich plemion.

księżniczko moja, że Czech z Niemcem teraz braty, jedną mową gadają i jednym orężem się przymierzają na biedną ziemię naszą. To ci te mniszki w Pradze główkę przewróciły, a mówiłam księciu panu żeby cię tam nie wiozł. „Rok czasu nie wiele“, rzekł książę, „a dziewczeczka dogodzi ciotce przeoryszy w klasztorze i trochę się ogładzi w tej Pradze, o której dziwy rozpowiadają.“ I nauczyło się dziewczę moje krasnymi jedwabiami wyszywać i na książce malowanej czytać, ale jakieś czary czy uroki na ciebie tam rzucili, gołąbko moja, boś mi wróciła jak gdyby inna, a we śnie rozpowiadasz o tej Pradze niby o raję ziemskim.

— Bo też tam pięknie, Bogno; gdybyście tylko widzieć mogli! Nie takie lasy dzikie, jak w naszym Frankensteinie. Tam nad Wełtawą Hradczyn wspaniały, a kościołów, świątyń pańskich bez liku, gdzie grają i śpiewają jak anieli w niebie, i góry zielone i rzeka się srebrzy. Tam żyć i umierać hym chciała!...

— Pewno że tobie nie siedzieć w tym gnieździe orlim, gołąbeczko moja, ale pó co Pragi szukać? Nasz Kraków pewno piękniejszy! Alboż to Wawel Hradczynowi nie dorówna, a Wisła nasza czy nie piękniejsza od Wełtawy, i król Kazimierz stokroć lepszy i mędrszy od czeskiego Karola, który się z Niemcami wiąże?

— Już na króla Karola nie mówcie, Bogno, ani słóweczka! Każdy wie że to rycerz, jakich mało. Mężny jak ojciec jego, Jan, którego cała Europa znała, bo nawet kiedy oślepl, to jeszcze na wojnę jeździł i nie tylko w swoim kraju, ale do Francji i do innych ziem; przecież go „lwem“ nazwano. Karol odważny, ale i lepszy i mędrszy od króla Jana; gdybyście to wiedzieli, jak go Czechy kochają! On chce żeby jego poddani byli dobrzy i oświeceni; przecież w Pradze wybudował taki gmach na szkołę¹, że niby świątynia Pańska wygląda, i właśnie go poświęcali, kiędym była u ciotki przeoryszy w Pradze.

— Tak — mruknęła niechętnie piastunka — a w tej szkole

¹ Wszechnica w Pradze założona w r. 1346 przez Karola, który sam będąc świątym i uczonym, wiele dobrego dla Czech zrobił.

ludzie uczą się wiary swojej zapominać, a niemieckiego licha się imają; sam król przecie tylko z Niemcami trzyma i pełno ich za sobą wozi. Albo to ich teraz mało na nasz zamek szturmuje? Ale niedoczekanie ich! Pójdą jak przyszli, a może jeszcze i głowy swoje nam na pamiątkę pozostawiają!

— Wstydzicie się, Bogno!... Tak mówicie jak gdyby to Czech i Niemiec nie byli także chrześcijanami!

— Może tam i chrześcijanie, boć mówią ludzie, że się krzyżem świętym żegnają, ale że nie tacy jak inni, to pewna, kiedy nawet języka ludzkiego nie rozumieją — odparła z gniewem staruszka. — Pewnie tam między nimi lichy jakieś być musi, kiedy mnie moją białą gołąbkę oczarowali, że tylko o nich gada i ich chwali!

— Nie gniewajcie się, nianiu złota; przecie ja swoich nie porzucę, a stryja i was więcej miłuję niż świat cały, ale trudno żebym tego nie chwaliła, na com się napatrzyła w pięknej Pradze, bom w Krakowie jeszcze nie była i nic tam nie widziałam.

— Czekajno, gołąbko, niech się ta wojna niegodziwa skończy, już ja cię muszę do dziadka Kazimierza zawieźć, a wtedy poznasz dobrze, że co Polacy, to nie Niemcy, a co Kraków, to nie Praga!



II. RYCERSKA RADA

Kiedy tak sędziwa piastunka gwarzy ze swoją wypieczoną księżniczką, tymczasem na dole, w zamku żywa się odbywa narada. Z ciemnego sklepienia od góry zwiesza się lampa na żelaznym łańcuchu, na dużym kominie płonie wielka kłoda sosnowa, bo wieczór, choć majowy, ale dosyć chłodny. Na dębowych ławach pod ścianą zasiedli rycerze Bolesława, przed

nimi na długim stole, co się ciągnie przez całą izbę, leżą stalowe ich hełmy z przyłbicami; miecze oparli o ścianę, żeby je mieć tuż pod ręką. Książę sam właśnie powstał z siedzenia i żelazną rękawicę na stół rzuciwszy, w te odzywa się słowa:

— Wiem, rycerze moi, że każdy z was gotów przelać ostatnią krwi kroplę, aby bronić ojczywego gniazda naszego od dzikich najeźdźców napaści. Każdy z was woli zginąć niż się poddać Niemcowi albo Czechowi, bo teraz jak jeden tak drugi godzą na zagładę naszą. Minęły czasy, kiedy Lech z Czechem z jednego kubka miód pili, jednym się chleba kawałkiem łamali; teraz inaczej: Czechy z Niemcami czyhają na zgubę naszą. Wszystkie dzielnice Piastów naszych na Śląsku upadły jedna po drugiej; ziemię krwią rycerzy naszych przesiąkną i usianą ich kośćmi, Niemiec pługiem swoim pruje, a zamiast starych orłów naszych, na basztach zamków niemieckie powiewają sztandary. My jeszcze z Bożej łaski książę udzielny, choć nam nieba zabrały potomka, najdroższego jedynaka naszego, nie damy się wziąć wrogowi. Miłościwy nasz wuj i sąsiad co prawda nie może nam teraz spieszyć z pomocą. On zajęty krajem, który długimi wojnami pustoszony potrzebuje rany swe zagoić; teraz właśnie mądre prawa i śpichrze dla ludu buduje. Teraz o nas nie myśli i nie chcąc ściągnąć na ziemię swą gniewu potężnego sąsiada, odrzeka się lennej nad nami opieki; ale przecież w sercu jego żyje dla nas przyjaźń i życzliwość. Niech się tylko upora z przebiegłym a nikkzemnym zakonem Krzyżaków, niech się wzmoże w siły i pieniądz, a pewno nam przyjdzie z pomocą. Tymczasem trzymajmy się, rycerze! Niech orły piastowskie nie dadzą się niemieckim sępom! Nie puszczajmy ich do gniazda naszego!

— Nie damy się, nie damy! — zawołali potężnym głosem rycerze, a brzęk zbroicy żelaznej rozległ się i odbił o sklepienia sali.

— Ale radźcie mi, wierni rycerze — mówił Bolko — co robić dalej? Ja się nie ulękne...

A kiedy to mówił, taki ogień błyskał z błękitnych jego oczu, taka szlachetność biła z wysokiego czoła ocienionego

bujnymi włosów zwojami, że czuć było, iż nie ulegnie dopóki mu kropla krwi w żyłach zostanie.

— Nie ułęknię się — powtórzył — bom pewien słuszności sprawy mojej i waszego męstwa, ale mury czy wytrzymają? Karol przywłókł za sobą ciężkie maszyny wojenne: olbrzymie kamienie z pocisków ich padające rozbiły część murów naszych; dziś dzień cały walili w nie taranami, a przez noc ludzie nie zdołają i dziesiątej części szkód tych naprawić. Jeszcze jeden szturm taki, a runie druga murów połowa.

Tu powstał z ławy mąż sędziwy; długa, biała broda spływała mu na piersi, oko błękitne jak u księcia, ale czoło grubymi poorane zmarszczkami i kresa przez prawy policzek aż do skroni się ciągnie, a druga mu powiekę przecięła, że ledwie oko spod gęstej brwi wygląda. To Mieszko z Zatora, mężny rycerz co jeszcze przy boku Łokietka niejednokrotnie walczył i rany odbierał, potem Kazimierzowi towarzyszył, ale że teraz w Polsce pokój, rycerz nie ma co robić, więc pośpieszył do Bolka i jemu pomaga odpiierać wroga od tej piastowskiej strażnicy. Znać, że nieprędko oręż z mężnej wypuści dłoni; teraz, wsparłszy się na potężnym swym mieczu, tak rzecze:

— Miłościwy panie i książę nasz! My wszyscy walczyć gotowi, ale te gruzi walące się tylko nam zawadzają; idźmy na otwartym polu potykać się z wrogiem, to rycerska sprawa, a nie z za ścian chyłkiem bronić się od napastników.

— Dobra rada wasza, Mieszku. I ja sam wolałbym w otwartym polu z nimi się spróbować, ale mi żal krwi waszej; przytem nas niewielka gromadka, a oni coraz większe zastępy z Czech i Niemiec ściągają. Nie dalej jak dziś przecie widzieliśmy zastęp konnych i zbrojnych rycerzy, których szyzaki jak złoto świeciły w słońcu: to nowi goście przybywają i jutro nam swoje przyślą podarki.

— To też my ich wyprzedźmy, miłościwy książę, i sprawmy im takie przywitanie, żeby poznali, z kim mają do czynienia. Noc ciemna, ani się spodziewają, jak im na karku wpadniemy!

Książę spojrzął po swym rycerstwie.

— Dobra rada! — zawołali powstając wszyscy. — Pro-
wadź nas książe! Hańba i sromota temu, kto by chciał nagiąć
karku pod jarzmo Niemców i Czechów, ich druhów!

Błyszcą szabllice wy-
soko wzniesione przy
ognia czerwonym odblasku,
ale więcej jeszcze błyska
zapał i męstwo w oczach
rycerzy.

Książę powiódł wzro-
kiem po tym walecznym
zastępie. Wolałby on, co
prawda, w jasny dzień
śmiało stawić czoło wrogo-
wi, ale próżno z garstką wy-
stępować na nieprzejrzane



Karola zastępy; dziś więc, tej nocy jeszcze musi być wykonana śmiała na nieprzyjacielski obóz wycieczka.

Chwilę jeszcze trwała narada, potem krzyknąwszy raz jeszcze: — Niech żyje Piast, nasz ksiązę — rozeszli się żwawo rycerze, aby cicho, w milczeniu załogę uzbroiwszy, wysunąć się za mury twierdzy.

Ksiązę wydawszy potrzebne rozkazy i obszedłszy podwórze, rzucił okiem na wieżę okrągłą, gdzie jeszcze ciągle blade błyska światelko i westchnąwszy jak gdyby mu ciężar jaki serce tłoczył, zwolna skierował się ku schodom do „gołębiego gniazdka“ prowadzącym.

Hanulka usłyszawszy znane sobie stąpanie po wąskich schodach i szcęk żelaznej zbroicy, rzuciła się ku drzwiom, przez które snop światła padł na wyniosłą i szlachetną postać księcia. Dziewczę obie rączki zarzuciło mu na szyję i złotowłosą główkę do piersi stałą okrytej przytuliło.

— Chodź, stryju mój drogi, usiądź tu z nami i pozwól bym ci zdjęła ten ciężki pancerz, daj mi ugłaskać włos twój hełmem wygnieciony! Czy ci przynieść miodu słodkiego, czy dzban mleka dla ochłody, boś pewno znużony całodziennym bojem?

— Nalej miodu, złota gołąbko moja, bo mnie pragnienie trawi, ale pancerza nie zdejmuj: jeszcze nie czas! Za chwilę znów do boju idziemy i właśnie chciałem was uprzedzić żebyście się nie lękały, gdy was z dala odgłosy bitwy doleca.

— Znów boje, znowu krew! Ach, stryju najdroższy, nawet słońce w biegu swym spoczywa, nawet orły do gniazd na noc wracają, a ty znów rwiesz się do boju! Boże miłosierny! Kiedy się to wszystko skończy? Wolałabym sto razy zginąć sama, byle wam i biednej ziemi naszej okupić jaką chwilę spokoju; a teraz nic poradzić nie mogę, tylko się modlić i płakać.

— Módlcie się, opatrujcie rannych, to wasze przeznaczenie. My, rycerze walczyć i ginąć musimy dla obrony ojczy-
stych zagród naszych. Jeszcze się Piastowie nigdy wroga nie ułękli! A teraz, dziewczę, bądź zdrowa i pomyślcie obie z Bogną aby przygotować wszystko dla rannych, których zapewne

z sobą przyniesiemy z nocnej wyprawy, i dla jeńców, których da Bóg także nie zbraknie, bo Czech dumny ani się spodziewa że doń z góry spadniemy z deszczem razem, co mu ogniska gasić zaczyna.

I wyszedł dzielny książę, przycisnąwszy raz jeszcze do piersi główkę synowicy, która już nie mówić nie śmiała, perliste łzy ocierając, które jej po licu spływały.



III. NOCNA WYCIECZKA

Cisza w namiotach czeskich, które szeroką obręczą okoliły twierdzą i przypierają do ogromnych lasów jodłowych i sosnowych, Frankenstein otaczających. Żołnierze całodziennym szturmem znużeni po tylu już tygodniach nudnej, bo bezowocnej walki, ułożyli się do spoczynku otulając się grubymi płaszczami od chłodu majowej, lecz wilgotnej i mglistej nocy. Rycerze pousypiali w namiotach swych na niedźwiedzich i wilczych skórkach; stróże tylko miarowym krokiem obchodząc obóz, wymieniają umówione hasła.

W purpurowym, od złotogłowia błyszczącym, a miękkimi futrami wysłanym namiocie królewskim siedzi i czuwa Karol, zadumaną głowę na rękę wsparwszy. Namarszczyło mu się czoło i mocno pięść zacisnął, jakby chciał wrogowi jakimś grozić.

— Cóż to? — rzecze sam do siebie. — Czy mam się podać na pośmiewisko wobec świata całego, trawiąc tygodnie na obleżeniu tego nędznego grodu? Wszyscy na Śląsku książęta ulegli przewadze złota lub żelaza, ten jeden śmie jeszcze urą-

gać potędzę naszej. Poczekaj, dumne książątko! Poznasz, co to jest walczyć z Luksemburgami. Jutro, nie dalej, choćby po stosach trupów przejść musimy i dobyć tego gniazda sępiego! Zobaczymy kto mocniejszy, czy król czeskiej krainy, który wkrótce może i cesarską koronę na swe włoży skronie, czy uparte książątko świdnickie, co nas beżużytecznym jątzy oporem!...

Wtem zgiełk jakiś oddalony, a potem coraz bliższy przeurywa nocne dumania króla. Już słyhać surmy i kotły bojowe, już goreją czerwoną łuną pożaru namioty z wojennymi zapasami, tabory wozów czeskich... W obozie popłoch: rycerze ze snu nagle zbudzeni, pośpiesznie zapinają zbroje i rynsztunki, do giermków swych i koni trafić nie mogą, a tymczasem Bolko na czele męznego zastępu, jak piorun wpada i gromi. Już pierzchają zastępy czeskiej piechoty pośpiesznie zgromadzonej przy płonących namiotach. Pędzą na odsiecz im rycerze, nie jeden jeszcze bez hełmu, którego nie zdołał w pośpiechu dostatecznie umocować na głowie.

Sam Karol na czarnym koniu, otoczony liczną strażą, rzuca się między walczących i głośno swoich do męstwa zarzuwa. Za późno już, za późno! Bolko na białym rumaku, wśród kłębów dymu i krwawej łuny błyska mieczem ognistym, niby archanioł zemsty, i niebaczny na śmierć, która mu ze wszech stron grozić się zdaje, pędzi gdzie najgęstsze tłumy, gdzie najzaciętsza wre walka. Wszystko się przed nim cofa i ugina. Górą orły piastowskie! Już szyki czeskie w nieładzie do lasu przyciśnięte kupią się tylko wkoło króla swego; całe stosy trupów zasiały pobojowisko, a mężni rycerze śląscy wydają okrzyki tryumfu. Nim słońce jasną swą tarczę ukazało na niebie, już w rozsypce żołnierze Karola zaledwie obronić się zdołali od zupełnego rozbicia. Król, miecz krwawy ku ziemi opuściwszy, ze smutkiem i gniewem patrzy na pobojowisko zasłane trupami żołnierstwa i rycerzy jego. Tymczasem Bolko na czele swojego zastępu z tryumfem wraca do zamku. Na odgłos trąbki wojennej, której dźwięk płynął po rosie, rozwarły się bramy zamku aby przyjąć zwycięzców prowadzących za sobą wielki zastęp jeńców.

— Niech żyje nasz książę! — woła załoga zamkowa i lud, który w murach twierdzy szukał schronienia przed wrogiem pustoszącym pola i cały jego dobytek.

— Witajcie z Bogiem, zacni rycerze moi i ty, ludu poczciwy! — odpowiada książę.

Hanulka z okienka wieży, w której spędziła noc we łzach i modlitwie nasłuchując straszliwego bitwy zgiełku, widzi wracających rycerzy, wybiega by powitać stryja, przyjąć jeńców i rannych, którzy jej pieczy mają być powierzeni. Na wieżach zatknięto świeżo zdobyte chorągwie, a książę Bolesław legł snem jak kamień twardym na skórkach niedźwiedziej w komnacie jego rozciągniętych. Już słońce wzbilo się wysoko, a książę jak posąg z brązu ulany nie poruszył się na rycerskim posłaniu, gdy wtem do murów zamku zbliża się rycerz na koniu z dwoma giermkami i białą powiewając chorągwią, wstępu się domaga.

Tym razem ukochana księcia gołąbka śpieszy do komnaty stryja i dotknawszy jego ramienia, czułymi słowy sen twardy przerwać usiłuje. Książę niespokojnie się porusza i cisnąc ręką miecza, który obok niego spoczywa, przerywanymi odzywa się wyrazami:

— Nic z tego... Piast się nie ulęknie... szkoda krwi tej... żał mi... milsza ojczyzna... precz Niemcy!... Grajcie na trąbach... niech na Wawelu posłyszają!...

Wreszcie rozbudzony słowami i pieszczotą synowicy, siada Bolko na posłaniu i dowiaduje się że rycerz od Karola przysłany, żąda posłuchania natychmiast.



IV. POSEŁ KRÓLEWSKI

I znów w wielkiej, sklepionej sali zasiada książę na wysokim, dębowym krześle. Twarz jego świeżą wodą kryniczną obmyta, nie nosi śladów boju i niewczasu; przeciwnie, rumieńcem się krasi, a oko poważnie i spokojnie we drzwi utkwione. Po chwili otworzyły się ciężkie podwoje, wprowadzono rycerza w zbroi misternie kowanej i złotymi przyozdobionej łuskami. Był to jeden z Niemców otaczających już podówczas Karola, hardy, zacięty i znany od dawna jako nieprzyjaciel Bolesława i całego Piastów rodu.

— Czołem wam, mości książę!

— Witajcie, zacny baronie. Jakaż nam wieść przynosicie od pana waszego? — odrzekł książę wskazując stołek zawczasu dla gościa przygotowany naprzeciw książęcego tronu.

Gniewnym okiem rzucił Niemiec na to skromne siedzenie i na Bolesława z góry, chociaż spokojnie nań spoglądającego, ale usiadł i w te rozpoczął słowa:

— Król i pan nasz wam, lennikowi swemu śle pozdrowienie...

— Niechże z pozdrowieniem zaczeka, aż będzie miał lennika! — przerwał żywo Bolesław oburzony tym wstępem.

— Przecież od lat wielu sam krewniak wasz, a król polski przelał prawa swe na koronę czeską,¹ i właśnie upór wasz, mości książę, w uchylaniu się od obowiązków lennika, skłonił króla i pana mego do skarcenia surowego zuchwałości waszej...

— Czego dowód mieliśmy tej nocy — przerwał znów szyderczo Bolesław. — Zmieńcie ton, mości baronie — dodał — inaczej bowiem będziecie zmuszeni wrócić do pana waszego z prośbą, by kogoś innego, więcej okrzesanego, w mowie przynajmniej, na miejsce wasze przysłać tu raczył.

Zacisnął pięści Niemiec i o mało się już ze stołka nie porwał, ale miarkując złość swą, ciągnął dalej poselstwo swoje:

¹ W roku 1335 Kazimierz Wielki przelał swoje prawa do Śląska na rzecz czeskiej korony, za co król czeski zrzekł się pretensyj swych do tronu polskiego.

— A więc, wielki Bolesławie, książę na Świdnicy i Jaworzu! Pan mój, Karol, król czeski, wzywa was abyście niezwłocznie, bez broni i z głową odkrytą do obozu jego przybywszy, okazali skruczę za dotychczasowy wasz upór i złożywszy królowi hołd wobec zgromadzonego rycerstwa, potem w sposobniejszej chwili w Pradze akt ten powinni ponowić, przybyli.

— Jeszcze Bolko na Świdnicy przed żadnym śmiertelnikiem kolan nie ugiął; wolno zrodzony na swej ziemi, nikogo za pana nie uznaje i dziwi się, że król wasz, sam będąc szlachetnym rycerzem, w innych tej dumy szlachetnej uszanować nie umie, sprowadzając klęski na lud niewinny i bez potrzeby krew przelewając. To moja odpowiedź, mości baronie, którą królowi odnieście!

— Król i pan mój jeszcze do zachodu słońca chwilę namysłu wam zostawia, w przeciwnym razie spotka was kara naleźna.

— Dość tej mowy! — zawołał już gniewnie Bolesław. — O wschodzie czy o zachodzie słońca, zawsze ja i rycerze moi gotowi jesteśmy na przyjęcie wasze, tym bardziej że więcej zamaszystości w języku niż w orężu waszym okazujecie, jakeśmy się świeżo przekonali.

Tu, klasnąwszy w dłonie, odezwał się do wchodzącego po chwili rycerza:

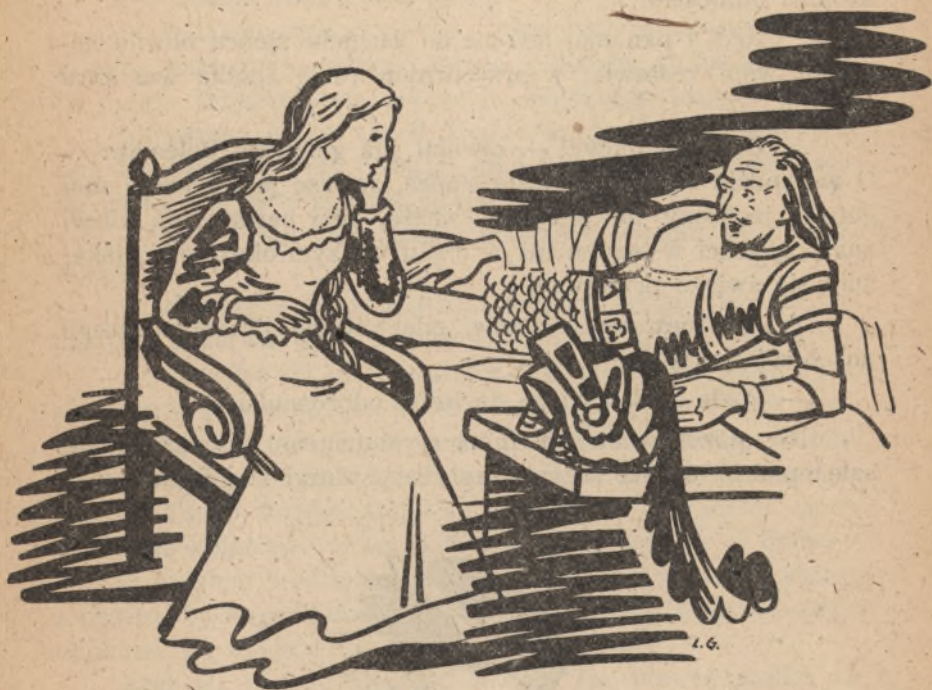
— Posła królewskiego do bram odprowadzić.

Nie pozostawało nic innego chmurnemu Niemcowi, jak salę opuścić, co też uczynił zagryzając wargi z gniewu.



V. ZGUBIONY PIERŚCIEN

Tymczasem robotnicy pracujący bez przerwy nad naprawianiem wyłomów w murze zrządzonych taranami czeskimi, zmieniają się ciągle i robota raźnie postępuje, ale daleko jeszcze do jej ukończenia, choć słońce na widnokregu zniżać się poczyna. Książę sam obchodzi wszystkie zakątki Świdnicy, wydaje rozporządzenia, zwraca się do robotników ze słowem zachęty, naradza się ze starszymi rycerzami, a wreszcie kieruje kroki swe do podziemi, w których zamknięto jeńców, w czasie nocnej wyprawy z obozu Karola zabranych.



Hanulka znów z nieodstępną Bogną udała się do wielkiej świetlicy, gdzie zniesiono rannych. Lekkim krokiem postępując, drobną lecz wprawną rączką opatruje rany zarówno roda-

ków jak i nieprzyjaciół, wlewa w usta słabszych napój krzepiący; niektórych wreszcie do ostatniej izby przenosić każe. Wszyscy patrzą na tę drobną postać jak na anioła z niebios zesłanego; ów jęk boleści przytłumia, który mu się z piersi dobywał, inny błogosławięństwem dziękuje za przyniesioną sobie ulgę.

Pomiędzy rannymi jeńcami znajdował się rycerz czeski; bogata jego zbroja i hełm wspaniałym ozdobiony pióropuszem zdradzały jednego z możniejszych panów królestwa. Chociaż osłabiony obfitym krwi wpływem z prawego ramienia, które mu bezwładnie na posłaniu spoczywa — wsparłszy się drugą ręką na łokciu i zmęczoną podtrzymując głowę, wodzi okiem za każdym ruchem księżniczki. Widocznie chce coś przemówić i lęka się; wreszcie, gdy go na rozkaz Hanulki zniesiono do przyległej, mniejszej lecz zaciszniejszej izby, odezwał się głosem cichym, płynną i czystą mową niemiecką:

— Pani, czy jesteś kobietą, czy aniołem z błękitnego nieba, pozwól mi słów kilka przemówić do ciebie, bo zdaje mi się, że jakieś widzenie wzrok mój olśniewa. Patrzę, a ciągle mi się zdaje że już miał szczęście oglądać cudne oblicze wasze, czy we śnie czy na jawie, sam nie wiem...

W tej chwili czy to z wysilenia przy dłuższej mowie, czy też ze wzruszenia, krew przewiązanej świeżo ręki znów się sączyć zaczęła, i Hanulka z pomocą piastunki zając się musiała umocowaniem przewiązek, przemawiając przytem w te słowa:

— Uspokójcie się, panie rycerzu i nie zatrudniajcie znuzonej głowy waszej próżnymi myślami. Mogliście łatwo mnie widzieć, ponieważ rok cały byłam w Pradze i sama kilkakrotnie mężnego króla waszego ze swiątą jego całą oglądałam.

— Ach, więc to wy może!... — zawołał ranny rycerz zrywając się prawie na posłaniu i zapominając o zalecanej sobie spokojności. — Wy pewno, coście rzucili uroki jakieś na pana i króla naszego?

— Co mówicie? — szepnęła księżniczka zarumieniona szybko się cofnawszy i z przerażeniem nieledwie patrząc w twarz rycerza.



— Nie, piękna pani, nie bójcie się, to nie gorączka przeze mnie mówi. Właśnie przed kilku miesiącami, gdy w Pradze obchodzono uroczystość poświęcenia świetnej wszechnicy naszej, król pośród tysiąca głów schylających się z okien w chwili gdy z chramu¹ wychodził, spostrzegł jakąś złotowłosą dziewicę, której błękitne, łąz zamglone oko tak mu w duszy i sercu utkwiło, że jej dotąd zapomnieć nie może. Próżno za rozkazem monarchy przeszukaliśmy wszystkie kamienice i domy w Pradze, nigdzie śladu owej złocistej gołębiczy, jak ją król nazwał, nie mogliśmy znaleźć. Tylko w chwili gdy z rąk jej padała wiązanka kwiecica pod stopy monarchy, zabłysnął zarazem mały, złoty pierścionek, który się widocznie z palca jej zsunął, i ten podniósłszy, Karol włożył na serdeczny palec mówiąc żartobliwie że mu spadł z nieba, które mu też zapewne i narzeczoną ześle. Odtąd, choć z różnych dworów swatają pańu narzeczone, najznakomitsze księżniczki, on zbywa wszystkie te zabiegi niczym, powtarzając na pół żartem że jest już zaręczony.

Podczas tego opowiadania rycerza, Anna na przemian płoniła się i bladła, odzyskując jednak panowanie nad sobą, rzekła na pozór spokojnie:

— Piękną mi rzecz opowiedzieliście, panie rycerzu, ale teraz spoczniście w osłabieniu waszym; za chwilę przyślę wam napój, który kojąc ból wasz, sen cichy sprowadzi, a teraz bywajcie zdrowi! — i lekko wysunęła się z komnaty, skinawszy na piastunkę, która z chmurnym czołem przysłuchiwała się jak ukochana jej pani w nieznaney, nieludzkiej, jak utrzymywała, mowie z obcym rycerzem się porozumiewa.

— Pamiętacie, nianiu — odezwała się Hanulka wszedłszy do swej komnaty — jakem płakała po zgubie pierścionka, co mi został najmilszą po matce pamiątką?

— Ach, pamiętam, gołąbeczko; chodziłam nawet do wróżki żeby nam pomogła w odszukaniu tej straty, ale powiedziała że ten, kto ci szkodę zwróci, będzie żądał w zamian drogiego okupu i za złoto życiem zapłacić każe.

¹ Świątyni.

— Prawda, nianiu, i dodała jeszcze wróżka: „Skąd słońca promienie, skąd rzeki fale, stąd i pierścień przyplynie, ale nie w rzece i nie w słońca promieniu, lecz w skrzydle orlim lub w krogulca szponach“. A pierścień się dotychczas nie znalazł!

— Skądżeś teraz o nim pomyślała, lubko ty moja?... Ale dość już tego, chodź, spocznij, bo się oczy twoje przez noc całą do snu nie zawarły.

I ułożyła gołąbeczkę swoją w białym łódeczku, a sama zdrzemnęła się siedząc u jej wezglowia na kobiercu ceglana podłogę okrywającym.



VI. MUR ŻYWY

Słońce ku zachodowi się skłania i blask czerwony rzuca na zamkowe wieżyce. Wyłom w murze do połowy ledwo zasypany, a tu po zielonej równinie od lasu pędzą zastępy czeskich rycerzy. Ziemia tętni pod kopytami, trąby grają do ataku, a Karol na czele, z mieczem dobytym; za nim jak las jeżą się dzidy i błyszczą oszczepy jego rycerzy. Wszyscy pałają widać chęcią pomszczenia nocnej porażki. Z wiatrem powiewają różnobarwne sztandary, a cały zastęp pędzi ku stronie, gdzie mury najsłabsze. Nagle Karol miecz do góry podnosi, i wszyscy stanęli jak w ziemię wręci, niby za uderzeniem laski czarnoksiężnika: oczy ich utkwione z przerażeniem w jeden punkt, bo też było się czego przerazić.

Na murach twierdzy, w miejscu właśnie, gdzie wyłom na wpół ledwie naprawiony przedstawiał najkorzystniejsze miejsce do ataku — stoją szeregiem, z powiązanymi w tył rękami jeńcy, których w ostatniej wycieczce Bolko w niewolę uprowadził. Błede ich twarze zdają się błagać o litość; odkryte

piersi pierwsze się narażają na ciosy oblegających. Tym żywym szańcem osłonić się musiał książę świdnicki od przemożnej wrogów siły!

Czesi pobledli widząc swych towarzyszków i krewnych, możliwych grafów i baronów z najbliższej królowi drużyny, powiązanych jak na rzeź i śmierci z bratniej ręki wyczekujących. Karolowi wydarł się z piersi stłumiony okrzyk przerażenia i grozy. Chwilę zatrzymał się nieruchomy na czarnym rumaku jakby w ziemię wrosły — wreszcie dał znak!... Zagrały trąbki do odwrotu i zastęp cały z wolna zwrócił się ku obozowi i oddalił się, ozłocony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

I znów przez dni kilka cisza panuje. Wyściancy od króla idą do zamku i wracają, ale dotąd bezskutecznie. Omówiono wreszcie spotkanie obu przeciwników oko w oko, w obozie królewskim.



VII. SZLACHETNOŚĆ PIASTA

I znowu w purpurowym namiocie swym zasiada Karol przy stole sutym kobiercem okrytym; oblicze króla widocznie zafrasowane, czoło pofałdowane gniewnie. Przed nim stoi w tej chwili mężny książę Świdnicy. Po długiej widocznie, a bezskutecznej rozmowie powstał z siedzenia i z ręką na stole wspartą utkwiał spojrzenie w królewskim obliczu; postać jego szlachetna, oko patrzy prosto i jasno, choć błyszczy ogniem zapału. Nie upór to, nie hardość próżna ożywia tego Piastów potomka! Tak może myśli i król w tej chwili, gdy głowę na rękę wsparłszy, mierzy okiem nieustraszonego przeciwnika swego.

— Nie, miłościwy królu — rzecze Bolesław — wy, co macie w piersi serce rycerza, a chrześcijanina sumienie, pojmujecie chyba że ja się wyrzec nie mogę spuścizny mych przodków krwią ich okupionej; Piast ludu swego ani ziemi swojej w niewolę nie zaprzeda, choćby do ostatniej kropli krew miał za nią przelać.

— A przecież — król odpowie — niejedyn już z pokrewnych wam książąt zgodził się z losem i dzielnicę swą poddał możniejszym sąsiadom.

— Śmierć zapewne i najsilniejszego zmoże! Alboż to druh mój, najmilszy Przemysław, książę na Głogowie¹ z dobrej woli choć piędź ziemi rodzinnej ustąpił? Nie! Zwykł był mawiać że z torbami raczej pójdzie, a w ubogiej swej dzielnicy pana nie przyjmie obcego. I był by pewno słowa dotrzymał, gdyby nie śmierć nagła, Bóg wie czy nie czyjąś przyśpieszona ręką, która mu młode życie wydarła, a wróg z boku czyhający bezpańską dzielnicę zagarnął. I mnie Bóg zabrał jedynaka syna, co miał być podporą mej starości i dziedzicem przodków puścizny! Przeciw wyrokowi Opatrzności nie masz oporu, ale dobrowolnie Piast żaden pod jarzmo głowy nie nagnie!

— To wasze ostatnie słowo, mości książę?

— Tak mi Panie Boże dopomóż! — rzekł poważnie Bolesław.

— A więc przygotujcie się na walkę straszną i krwawą. Tym razem już mię i wasz żywy mur nie wstrzyma; wstyd by mi było przed światem całym i pamięcią bohaterskiego ojca mego, gdybym się cofnął spod murów śląskiego zameczku.

— Do widzenia więc, królu, na murach Frankensteinu! — wyrzekł nieulekniony książę i skłoniwszy głowę przed monarchą, nacisnął hełm stalowy na rycerskie czoło i zwrócił się ku drzwicom namiotu.

Jeszcze Bolesław progu namiotu królewskiego nie przystąpił, gdy mu orszak niewiast w żałobie drogę zagradza. Oczy ich łzami zalane, pobladłe twarze. Padają przed księciem na kolana: to żony i matki pojmanyh w niewolę rycerzy. Niema

¹ Zmarły bezpotomnie 1331 r.

ich prośba wzruszyła do głębi tklive serce księcia. I jemu łza w męskim zaświeciła oku; zwraca się więc raz jeszcze do Karola i rzecze:

— Królu, trzy dni mi tylko czasu dajcie, niech zdołam naprawić mury taranami waszymi rozbite, a potem przypuszczajcie szturmy. Dziś jeszcze odeślę żywy wał, który mię tak skutecznie ochronił od waszych pocisków; nie chcę mieć na sercu krwi jeńców i łez tych zacnych niewiast. Bóg nas nie opuści, ufam w pomoc Jego.

Milczy zadumany Luksemburczyk. On przed chwilą bogate ofiarował okupy za swych grafów i druhów, księżę je ze wzgardą odrzucił, a teraz łzy żon i matek nieszczęsnych w jednej chwili dokonały tego, czego perły i brylanty dokazać nie mogły. Matrony czeskie obsypują zacnego księcia błogosławieństwami i dziękczynieniem, ten zaś zapytawszy po raz wtóry króla milczącego, czy przystaje na trzy dni rozejmu, ma już namiot opuścić.

Walczył z sobą chwilę dumny Karol. Teraz postępuje na przód i rękę Bolesława ująwszy, rzecze:

— Księżę, za szlachetność taką jak wasza, krwią i mordem płacić niepodobna! Odstępuję od obłączenia! Podajcie mi dzielną prawicę waszą i odtąd bądźcie mi przyjacielem, nie wrogiem. Czy zgoda?

Uścisnęły się dwie rycerskie dłonie, a po chwili księżę przy odgłosie trąb wesoło brzmiących tryumfalnymi dźwiękami i słodkich dla ucha jego wyrazach błogosławieństwa zgromadzonych matron czeskich, dosiadł konia by wrócić do zamku, którego szeroko rozwarte bramy już się za nim nie zamknęły.

Tegoż dnia jeszcze, nim słońce zaszło, wyjeżdżał z bram tych zastęp dawnych jeńców Bolesława. Wywozili oni wdzięczną pamięć o księciu, który ich jak gości raczej niż jak więźniów traktował, a wdzięczniejszą jeszcze o białej gołąbce, która po ciechę zwątpiałym, pomoc rannym i chorym niosąc, łagodnym spojrzeniem błękitnych oczu, słodkim ust różanych uśmiechem rozweselała każdy ponury warowni zakątek. Rycerz ów mianowicie, co swym opowiadaniem o znalezionym przez Karola pierścieniu tyle księżniczce wzruszenia sprawił, nie mógł się

nachwalić pięknej Bolka synowicy i długie o niej z królem toczył rozmowy.

Nazajutrz po dniu zgody, Karol w obozie swym gościł Bolesława z całą jego drużyną, później książe świdnicki króla wraz z rycerstwem jego do siebie na zamek zaprosił. Gdy u drzwi sali piękna zámku kasztelanka monarchę witała, skłonił się Karol z wdziękiem i ujmując drobną jej rączkę rzekł:

— Nie dziw iż oliwne wykwitły gałązki tam, gdzie się biała gołąbka znajduje. Pozwól, śliczna pani, bym w imieniu moich rycerzy, którzy twojej doświadczyli opieki, ucałował tę rączkę gojącą rany... a kiedyś ja sam może zażądam, aby się ku mnie wyciągnęła — dodał ciszej.

Nim zarumieniona dziewczeczka odpowiedzieć zdołała, zagrzmiały trąby i kotły wzywając do sali, gdzie stoły obficie zastawione czekały na biesiadników.



VIII. DZIEWOSŁĘBY

Nie na tym jednak skończyło się oblężenie Frankensteinu. Po kilku miesiącach Karol, obrany cesarzem Niemiec, wyprawiał posłów do Bolesława, prosząc o rękę synowicy jego.

— Córa Piastów nie pójdzie do Niemiec — była odpowiedź księcia — powiedzcie miłościwemu monarsze waszemu, że jakkolwiek wysoko ważę sobie ten zaszczyt, którym dom mój obdarza, jednak nie mogę w tak wysokie progi wprowadzać dziewczeczki mojej. Cesarz łatwo sobie wynajdzie małżonkę na świetnych dworach królewskich, my do ziemi naszej przywiązani, na niej żyć powinniśmy,

Posłowie cesarscy pomimo długiego i wymownego nalegania, innej odpowiedzi doczekać się nie mogli. Mimo to jeden z nich uprosił sobie, że pozwolono mu widzieć się z księż-



niczka, której, jak mówił, miał zwrócić zgubę, szczęśliwym trafem odnalezioną.

Pokraśniała Anna, gdy przykląkszy przed nią rycerz wymownymi słowy przedkładał, jak król i cesarz Karol wśród całej świetności dworu swego; wśród mnogich spraw koronnych i wojennych nie może z serca i pamięci zbyć gołąbki, która mu się po dwakroć jakby cudem zjawiła. Przekonanym będąc, iż pierścień z jej ręki dziwnym zrządzeniem Opatrzności w jego posiadaniu się znalazł, nie może się rozstać z tym

darem nieba, lecz natomiast śle księżniczce inny, którego przyjęcia odmówić nie będzie mogła, jako zawierającego cudowną relikwię z Ziemi świętej niegdyś przywiezioną.

Kończąc swą mowę, rycerz podał w kunsztownie wyrobionym puzderku przesłicznie brylantami wysadzany pierścień, poczym nisko się skłoniwszy, oddalił się prosząc o pozwolenie powrotu raz jeszcze.

Stała Anna chwilę, w rękę trzymając drogocenny klejnot, wzruszona, pomięszana, gdy się podwoje otwarły i wszedł książę. Zmarszczył się, spojrzawszy na pierścień w rękę synowicy, odprawił służbę, prócz wiernej piastunki, i długą miał rozmowę z ukochaną gołąbką swoją. Słychać było ciche, łzami przerywane opowiadanie dziewczeczki, groźny, a później już tylko poważny głos księcia; wreszcie Anna mu się do nóg rzuciła, jakby prosząc o przebaczenie. Rozmowa zakończyła się słowami wśród łez wyrzeczonymi:

— Niech dzieje wola twoja, mój wuju, któryś mi był ojcem i opiekunem; poddam się jej z pokorą.

I odtąd cicho i słodko jak dawniej, młoda księżniczka przesuwiała się po ciemnych zamku komnatách, lub w towarzystwie starej Bogny zachodziła do nędznych lepianek wieśniaków, niosąc leki dla chorych, albo dla dzieci kukiełkę. Ale wieczorem, gdy przy kądzieli zgromadzone dziewczeczki słuchały ciekawych opowieści starej piastunki, młoda ich pani blada, milcząca, często z okiem gdzieś w dal utkwionym, zdawała się nic nie widzieć i nie słyszeć, wrzecziono zaś nieruchome spoczywało w jej wyciągniętej ręczce. Nie rozlegał się jak dawniej srebrzysty śmiech jej, nie skarżyła się, nie żądała nic od nikogo, ale znać było że mocno cierpiała.

— Co ci to, lilijko moja? — pytała sędziwa piastunka. — Życie bym chętnie oddała aby tobie ulżyć, lubko moja, a ty nie chcesz nawet powiedzieć, co ci dolega.

I daremnie warzyła Bogna zioła, które sama zbierać chodziła, daremnie przyrządzała wonne kąpiele. Anna wszystko przyjmowała z rąk wiernej piastunki, ale rumieniec nie wracał na blade jej liczko, a zamglone oko nie błyszczało jak dawniej wesołością i zdrowiem.

Książę zafrasowany ciężko smutkiem swojej ukochanej gołąbki, wzywał kilkakrotnie pocziwą piastunkę na jakieś poufne narady; wreszcie dnia jednego zapowiedział żeby się niewiasty wybierały w drogę suto i zapaśno, bo pojedą daleko, nad Wisłę, do królewskiego grodu Kazimierza, do Krakowa.

Zabłyśły oczy Bognie na tę wieść upragnioną, schyliła się do kolan pana obejmując je z wdzięcznością, ale Anna ucałowała rękę stryja i wyrzekła z cicha, ale stanowczo:

— Dzięki ci, stryju, ale nie dla mnie teraz gody i uciechy dworskie. Jeżeli cię opuszczę kiedy, to dlatego tylko, aby w murach klasztornych resztę życia mego Bogu poświęcić.

Próżne były nalegania, a nawet gniewy Bolesława; dziewczeczka trwała upornie przy swej odmowie, a przytem była taka cicha i prosząca, że przymuszać ją zdawało się niepodobieństwem.

— Mówiłam ja dobrze — szeptała zafrasowana piastunka — że na gołąbkę naszą czary jakieś rzucili w tej przeklętej Pradze. Było to rumiane i zdrowe jak jagódka, teraz wciąż tylko tęskni, schnie i blednie. W sam raz tak było z nieboszczką księżną panią, a jej matką, którą książę Mieszko od Niemców gdzieś przywiózł. Od kiedy w naszym zamku jaworzańskim osiadła, nikt nie widział uśmiechu na jej twarzy, a także nigdy się nie skarżyła, nikomu złego słowa nie powiedziała, tylko nieraz ją zesłałam kiedy pod starą lipą na wzgórkę stojąc patrzała gdzieś daleko, gdzie słońce zachodzi, a łzy jak perły spływały po jej twarzy. I tak powoli nikła, bładła, pan nasz rwał włosy na głowie, zwoził jej klejnoty co najpiękniejsze i materie drogie, wszystko na próżno. Zgasła jak gwiazda co tam z nieba gdzieś spada. Ostatniego dnia jeszcze kazała się wznieść na poduszkach kiedy słońce zachodziło i patrzyła daleko. Tak i nasza gołąbka wpatruje się gdzieś na Zachód i blednie i tęskni za czymś, aż się serce kraje gdy na nią spojrzeć!

I stara piastunka otarła rękawem łzy, które się potoczyły z jej przygasłych oczu.

Książę chmurny i gniewny już nie mówił, ale gdy w parę miesięcy znów posłowie od Karola przybyli z poño-

wieniem prośby o rękę Anny, dla której cesarz wyrzekł się wszelkich królewien na świecie, Bolko przywołał synowicę i z jej ust chciał usłyszeć odpowiedź.



IX. ZAŚLUBINY¹

I znów długie upłynęły miesiące, nadeszła wiosna tysiącem kwieciami błyszcząca. Srebrzyły się jasno Wełtawy nurty, a na Hradczynie orszak weselny, błyszczący od srebra i złota, wił się jak wąż złoty po zielonym wzgórzu wysłanym różnobarwnymi kobiercami. Dzwony rozlegały się we wszystkich świątyniach Pragi. Ku wielkiemu zdumieniu ludu zgromadzonego jak mrowie u stóp wzgórza i na stokach jego, grzmiąły sprowadzone po raz pierwszy z dalekiego zachodu dziwne jakieś maszyny, ze swych paszcz niby pioruny ciskające.² Wreszcie orszak weselny wszedł do świątyni pańskiej.

Przed ołtarzem stanął mąż wspaniałej postaci, w kwiecie wieku; z ramion jego spływa płaszcz gronostajowy karmazynem kryty; na wyniosłym czole złota spoczywa korona; to Karol IV Luksemburski, król czeski i od 1347 roku cesarz niemiecki. Przy nim młodziuchna oblubienica w atłasach i puszkach łabędzich; oko jej błękitne łzami zwilżone, ręce złożone pobożnie; z główką kornie pochyloną zda się niebiosą o przebaczenie błagać.

Za nią w orszaku rycerzy złotem i drogimi kamieniami błyszczących, w ciemnym płaszczu, z pochyloną głową stoi

¹ Zaślubiny te nastąpić miały dnia 17 maja 1353 roku. Karol IV owdowiawszy, poślubił znów wnuczkę Kazimierza Wielkiego i Aldony litewskiej, Elżbietę, której to wesele z taką wspaniałością odbywało się w Krakowie 1363 roku.

² Armaty świeżo wówczas wynalezione. We Francji zjawily się po raz pierwszy 1346 r. w bitwie pod Crécy przez Anglików z powodzeniem użyte.

Bolko, książę świdnicki, ostatni z polskich Piastów na Śląsku:¹ ręka mu spoczęła na miecza rękojeści, ale go już nie dobędzie przeciw wrogom. Czego nie dokazał oręż Karola ani zbrojne Niemców szyki, to zdziała drobna rączka kobieca. Gołąbka z oliwną gałązką wyleciała z rodzinnego gniazda, ale doń już nie wróci!... O tym zapewne дума potężny książę i oblicze jego wśród godów weselnych smutkiem się powlokło. Jego dziecię ukochane, dziedziczka starej przodków dzielnicy, wraz z sercem i ręką wnosi ją jako wiano w dom Luksemburgów.

Taki był koniec ostatniej walki Piastów na Śląsku. U ciężkich kościoła podwojów, wśród cisnących się tłumów, które za ledwie konni i piesi pacholtkowie utrzymać mogą od tłoczenia się do świątyni i tak już rycerstwem zapełnionej, kłęczą sędziwa Bogna. Po twarzy jej pomarszczonej obfite łzy spływają. Ona już nie pójdzie za swą panią w obce kraje.

— Nie będę już jej dzieci kołysać — szepcze staruszka łkając — one nie rozumieją polskiej piosenki nad kołyską śpiewanej, im już innej potrzeba piastunki. Ja się powlokę nad Wisłę, raz jeszcze zobaczę Wawel nasz stary, a potem pójdę na grób Jaśka mego i tam na ziemi naszej stare kości złożę.

I nie dała się skłonić staruszka do towarzyszenia monarchini w jej złocistych pałacach. I Bolko, mimo słów przyjaznych Karola i nalegań synowicy, nie pozostał na dworze cesarskim; powrócił do swego ulubionego Frankensteinu, gdzie na rodzinnej ziemi żywota dokonał. Po śmierci jego 1368 roku, księstwa świdnickie i jaworskie przeszły w posiadanie korony czeskiej.



¹ Ostatni z ducha, wielu bowiem ziemczalych Piastów panowało w dzielnicach śląskich.





40. - III. 1. 1

1,20



1,20

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

799 S 995



001-000799-00-0

SNT